

JÓZEF BARAN

PRZYSTANEK MARZENIE (29)

(FRAGMENTY)



Myśli takie sobie podczas jazdy londyńskim metrem

Każdy żyje z podzielną uwagą skierowaną na zewnątrz siebie i do środka.

Na zewnątrz trwa obiegowa wymiana myśli, obrazów, informacji; komunikowanie się ze światem, dostosowywanie, gapienie nań, codzienny targ. W środku każdy ma podziemne metro, którym podróżuje, a z nim jego myśli, znajomi, żywi, umarli, krajobrazy, zdarzenia, fragmenty rozmów.

Czasami obucujemy zewnętrznie z najbliższą osobą, co nie znaczy, że nie podróżujemy innym metrem, innym wagonikiem niż ta osoba, i tylko od czasu do czasu udaje nam się spotkać z sobą przez chwilę na tym samym peronie i w tym samym pociągu, gdy jedziemy w identycznym kierunku.

Polacy nad Tamizą

Jest ich dużo. Są widoczni i słyszalni. Są rozpoznawalni w przypiływach i odpływach różnokolorowych twarzy – na ulicach, placach, w lokalach. Pracują jako kelnerzy, ekspedienty, niańki, budowlanci, hydraulicy, sprzątacze; są widoczni jako obsługa pasażerów na lotniskach i obsługa klientów w kawiarniach i pubach. Przerwywają w pół zdania, gdy jakiś rodak zaczyna ich pytać o coś nieporęczną angielszczyzną, i każą rozmawiać z sobą po polsku.

Podobni i niepodobni do siebie, a jednak mający coś wspólnego, jakiś rodzaj swojskości wpisany w rysy, w gesty, w zachowanie.

Rozbiegli się po Wielkiej Brytanii, rozbiegli się po Anglii, rozbiegli się po Londynie. Wtopili się w tłum, wynajmują mieszkania, znaleźli zatrudnienie. Tylko niektórzy mieszkają pod przysłowiowym mostem. Jednak największą jest młodych wykształconych ludzi po studiach, znających język angielski, niemających pro-

blemu ze znalezieniem niezłe płatnej pracy, choć poniżej ich kwalifikacji zawodowych.

Młody poeta Paweł Baranowski, który przyglądał do mnie po moim spotkaniu autorskim w Polskim Ośrodku Kulturalno-Społecznym w Londynie, opowiada przy piwie w dzielnicy rozrywki Soho, gdzie paradują geje i prostytutki, że miał się różnych zawodów. W dzień po przyjeździe zarejestrował się w specjalnej agencji, a w dwa dni później już pracę otrzymał. Co prawda byle jaką, sprzątacza w szkole – 2 godziny przez południem i 3 godziny po południu – ale nie musiał przy tej robocie specjalnie wysilać mięśni i zostawało dużo czasu na czytanie i pisanie. Po opłaceniu mieszkania, odliczeniu funciaków na jedzenie, miesięczny bilet komunikacji oraz parę „bibek” weekendowych, mógł odłożyć miesięcznie równowartość tysiąca złotych.

Parokrotnie zmieniał miejsca pracy, na coraz lepiej płatne. Dziś przyciska guziki przy jakiejś maszynie i odkłada do banku równowartość 3 tysięcy miesięcznie. Zauważył, podobnie jak i inni Polacy, że nie musi się wcale martwić o to, czy straci dziś pracę, bo jutro i tak znajdzie inną. Daje to pewien rodzaj komfortu psychicznego. Ale komfortu mogącego wpływać rozleniwiająco. Młody człowiek jest w stanie żyć w swoistym zawieszonym emigracyjnym wiele lat. Niepoddany „prawom ciężenia rodzinnego”, singiel. I właśnie Paweł po dwu takich latach zawieszenia zastanawia się, co robić dalej. Nie ma już dziewczyny w kraju, bo odległość podyktowała rozstanie. Tu nad Tamizą niełatwo znaleźć inteligentną partnerkę, a w każdym razie dotąd takiej nie spotkał. Mieszka sam. Tęskni za Gdynią, skąd przyjechał, lecz wie, że w Polsce nie ma szans na zatrudnienie, które dawałoby mu podobnie godziwe wynagrodzenie, jak praca w Anglii.

W niedzielę na skwerku parkowym w dzielnicy Tower Hamlet przysiadła na ławce naprzeciw nas trójka meneli z siatkami wyładowanymi piwem. Też rozpoznawalni jako rodacy, bo słychać jak torturują język polski kurwami i chujami. Może w ten sposób świętują wolny dzień, a może nigdzie nie pracują i żyją jako ptaszkiwie niebiescy podług ewangelicznych zaleceń.

Przy wejściu do kolejki metra słyszę z kolei filozoficzny dialog dwu młodzieńców, którzy próbują ustalić definicję bytu realnego. Dyskutują zapamiętane, posługując się uniwersytecką polszczyzną. To też moi rodacy – jakże inni od tamtych ze skwerku – w drodze na uniwersytet?

Trochę dalej wpadają na nas cztery Polki-turystki szukające najprostszego drogi do przepięknych budynków Parlamentu, który chcą zwiedzić. Właśnie byliśmy tam wczoraj, więc możemy im służyć za przewodników.

Najwięcej naszych ziomków można spotkać w okolicach „cypelka polskości” czyli kilkupiętrowego budynku Polskiego Ośrodka Kulturalno-Społecznego. Przy metrze, na przyległych ulicach aż roi się od rodaków. Niekiedy z plecaczkiem na ramieniu, jakby właśnie zakoń-

czyli rozrzucanie reklam. Matki pchają wózki z dziećmi. W tym budynku ma swoją siedzibę Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie i właśnie tu w Sali Malinowej odbyło się moje spotkanie poetyckie, na które przyszło sporo, bo około 70 słuchaczy. Wiersze przeplatane muzyką złożyły się na półtoragodzinny program, który przypadł do gustu przedstawicielom tej przeważnie tzw. „starszej emigracji”, z prezydentem na uchodźctwie Ryszardem Kaczorowskim na czele oraz jego żoną Karoliną, która zakupiła nawet po spotkaniu tomik i powiedziała mi, że woli poezję od polityki.

W tutejszej prasie – a jest wiele polonijnych tytułów: od „Nowego Dziennika” i „Tygodnika Niedzielnego” poczynając, na „Nowym Czasie”! miesięczniku „Cooltura” kończąc – ukazało się trochę anonsów i dłuższych publikacji zapowiadających spotkanie. Pani dr Alina Siomkajło wysmażyła w londyńskim „Dzienniku Polskim” obszerną recenzję promowanego zbioru *Hymn poranny*. Nazwała mnie poetą serdecznym.

Nie obyło się bez przytyków. Pewnego młodego autora jednego tomiku wzburzyła, jako zwolennika turpizmu, moja „anielskość” „prostota”! „komunikatywność”, czemu dał wyraz w gazecie „Nowy Czas”. Zrozumiałem z jego omówienia, że jestem już starym poetą, bo piszę „śpiewnie” i „harmonijnie” o sprawach ostatecznych, lecz mimo to onże (zwolennik poetyki eksperymentalnej), łaskawie pochylił się nad tomem, by wyluskać z niego autentyczne wartości. Pochylił się i zauważył, choć z niemałym trudem. Gdybym w wierszach gryzł i kopał, pewnie młody „dywanogryźca” poczułby się bardziej usatysfakcjonowany... Za to w tutejszym kolorowym polonijnym „Przekroju” zatytułowanym „Cooltura” sprawozdawca napisał o wieczorze w superlatywach.

W związku z przepływem wielkiej fali młodych Polaków-emigrantów mnożą się oferty kulturalno-rozrywkowe. Pani Irena Delmar, legendarna aktorka z powojennego kabaretu Hemara, opowiada mi, że niedawno znalazła się na występie zespołu muzycznego z kraju i w ryku, huku i wrzasku o mało nie wyzionęła ducha. „Było parę tysięcy młodych Polaków, którzy nagradzali owacjami śpiew ni to kobiety, ni mężczyzny, solistki tego zespołu. Przyglądałam się jej ze zdumieniem, gdy miała się na scenie, i doszłam do wniosku, że widocznie powinnam już umrzeć, bo nic ze śpiewu, muzyki ani owacji nie jestem w stanie zrozumieć, choć sama występowałam na scenach kilkadziesiąt lat”.

Ale oprócz tej oferty dla tysięcy pojawiają się też subtelniejsze i ambitniejsze propozycje. Franciszek Bielaszewski z żoną Marzeną Majewską postanowili założyć wydawnictwo BrandBook, w którym wydają książki po polsku, angielsku i czesku. Niedługo ma się też ukazać redagowany przez nich miesięcznik „Rzeczpospolita Kulturalna”.

cdn.